



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół., kwartal. tal. pr. l. sgr. 20.

OJCIEC DO CÓRKI

(Z Wiktora Hugo — „Les Quatre Vents de l'Esprit”).

Kiedys dziecinka jeszcze różowa i biała,
Jak Chrystusek w żłobeczku, w kolebce swej spała,
Sen twój był taki cichy i taki głęboki,
Żeś nie słyszała ptaszka, co w gęstwinie śpiewał,
A ja, czuwając, piłem słodycz tej pomroki,
Którą się tajemniczo firmament odziewał.

Słuchając, jak nad tobą przelatują duchy,
Sypałem ci na nóżki wonnych kwiatów puchy,
I patrząc na snu twego ciche utulenie,
Modliłem się, aż łzami zabiegła powieka,
Bo w smutnych myślach moich stało się widzenie
Wszystkich rzeczy, z którymi życie na nas czeka.

Z kolei na sen długi i ja się położę,
Wśród ciemności tak będę usłane mieć łożę,
Że nie usłyszę ptaszka, co gdzieś nuci blizki,
A może straszne będą głuchej ciszy chwile:
Więc, córko, jak ja niegdyś do twojej kołyski,
Przyjdź... lzy, kwiaty, modlitwę daj mojej mogile.

Pozytywizm w praktyce

POWIEŚĆ

przez

Sewera.

(Dalszy ciąg).

— Z kądże pan dobrodziej? — pytał, zapalając cygaro.

— Z Łęczyckiego, — odparł Kazimierz.

— Aż z Łęczyckiego, — to u nas rarytas — bo wy tam zza Kordonu wolicie uciekać przez Berlin do Paryża, niż zwiedzić nasz stary Kraków, zajrzeć do Lwowa, przejechać się po Podolu. Już to za wschodem nie tęsknicie.

— Rzeczywiście nie tęsknimy — poświadczył młody człowiek z przyciskiem.

— I macie rację. A daleko — jeśli wolno?

— Do Zalesia w Jasielskiem. Podobno miła od Jasła.

Staruszek się uśmiechnął.

— No teraz to się nie dziwię pańskiej podróży po szlakach galicyjskich.

— Dlaczego?

— Wszak mam przyjemność mówić z panem Jaworowskim?

— Tak jest, — pochwycił Kazimierz mocno zdziwiony.

— Jestem Tomaszewski — odparł staruszek, wyciągając rękę.

Uścisnęli się. Przedstawienie się atoli staruszka nie rozjaśniło Kazimierzowi zagadki: z kąd mógł go znać.

— Intryguję pana, prawda, — zapytał, uśmiechając się.

— Istotnie — odpowiedział.

— A więc powiem panu wszystko. Sąsiadka nasza tyłkoco wróciła z Krynicy — i opowiadała nam, że młody i przystojny obywatel z Łęczyckiego oświadczył się o Zosię, moją wielką faworytkę. Pan jesteś z Łęczyckiego i jedziesz do Zalesia; nie potrzeba więc było wielkiej domyślności. Cieszę się, serdecznie się cieszę, i zarazem winuję. Jesteś pan szlachetnym.

Kazimierz, zarumieniony, usiłował się bronić.

— Cenię twoję skromność — mówił dalej staruszek — lecz powtarzam, że musisz być, nie tylko znacnym, lecz i rozumnym młodzieńcem, a to dla tego, że sam będąc majątnym, nie szukasz posagów. To też wygrałeś wielki los, biorąc dziewczeczkę z tak pocziwego domu.

— Pan dobrodziej zna dziedziczki Zalesia? — zapytał młody człowiek, chcąc odwrócić od siebie rozmowę.

— Czy je znam? A przecież matka Zosi to moja najbliższa przez lat dwadzieścia sąsiadka. — Zosię nosiłem na rękach; s. p. pan Karol, ojciec Zosi, był moim przyjacielem. Syna jego, Stasia, trzymałem do chrztu, Marynię, siostrę Zosi, przeszłego roku odwoziłem na pensję do Krakowa. — Po śmierci żony, będzie temu lat trzy, sprzedałem majątek i przenieśliśmy się do dzieci w Wielickie. Mówię ci, że drugiej szlachetniejszej rodziny nie znajdziesz w Galicji.

Staruszek się ożywił; Kazimierz poważniał i smutniał.

— Wygrałeś wielki los, — powtórzył, — robiąc tak szczęśliwy wybór, bo to nie posag daje szczęście a ze szczęściem majątek, ale osoba. Osobę należy szacować — i oszacowawszy Zosię, mówię ci, że bierzesz milion posagu.

Młody człowiek chciał wyjaśnić sytuacją, lecz staruszek nie dał mu przyjść do słowa.

— Z panią Karolową — mówił z zapalem — tań-

nadrzem! zawołał. — Sprzedaj mi drugie wydanie poezji twoich, a znajdziesz je. Zaraz też na miejscu, to jest, na ulicy załatwiono interes. Emich, którego Jokay nazywa: szlachetny mąż, dał, ile poeta potrzebował i w godzinę pieniądze zostały wysłane staremu ojcu. Petőfiemu, gdy pieczętował list z przesyłką, ręce drżały, płakał z radości.

Chciał tak los, czy może chcieli ludzie, że w kraju ogromnych, a wtedy jeszcze zębem późniejszych wypadków nie dotkniętych, fortun pańskich, wielkich majątków szlacheckich, poeta znajdował dłoń pomocną tylko u ludzi ciężkiej pracy, tak jak i on, lub u tych prostaczków, duchem ubożnych, którzy mogli mieć jedynie intuicyjną jego wartość.

W parę lat później, tensam księgarz, bo Petőfi w nim już tylko chciał mieć wydawcę, zapłacił za trzecie wydanie jego poezji dwa tysiące guldów. Pięć dukatów, było ceną stałą za najdrobniejszy wierszyk. Petőfi mógł wtedy wynagrodzić sobie użyciem świata wszystkie braki lat młodych, i wtedy — sprowadził do siebie rodziców!... Czując w Jokayu wzruszenie, gdy to opisuje.

Petőfi, przy szczęśliwie wznoszącej się gwieździe losu swego, zaczął słynąć jako oryginał, a pochodziło to, nie z chęci odznaczenia się, nie z próżności jakiejś maluczkiej, ale rzeczywiście z oryginalności gustu, złączonej z taką żywocnością w chęciach, że oprzeć się nie mógł temu, co mu się na razie podobało. Nie dał sobie wytłumaczyć, że jakaś bramowana futrem czapka, lub cudacko wygięty kapelus, dolman z atlasu w wielkie kwiaty, nie dają się nosić między ludźmi. Pytał z naiwnym podziwieniem, dla czego? nie mogąc zrozumieć, z jakiej przyczyny ludzie mieliby konieczności ubierać się według jednej modły gustu, który u niego pozostał zawsze ludowym, a raczej ludowo-narodowym, węgierskim, zakochanym w barwach żywych, w formach junackich, swobodnych. Ale stał już wtedy między ludźmi tak, że prawa mody, której nie chciał przyjmować, on dawał, bo młodzież peszteńska naśladowała go natychmiast, tylko, że poeta gotów był jutro rzucić i oddać zapomnieniu to, co wczoraj opanowało go swym wdziękiem, i Jokay z powodu tej zmienności gustów, z powodu siły gwałtownej w każdym pragnieniu, zwraca uwagę jak drugostronnie poeta był duchem podniosłym wyrobionym, że nigdy nie rzucił się w ten wir szalonego życia, które kazało iść na dno niejednemu z podobnie gorącą i namiętną, jak u niego, naturą. Ukochania jego były tylko podniosłe i czyste, upodobania serca szlachetne, a zmysł moralny, może przez wielką tkliwość serca, przez wysoką delikatność uczucia, niezachwianie silny.

Raz, będąc jeszcze bardzo młodym i za czasów aktorskich, chciał się żenić też z bardzo młodem dziewczątkiem, aktorką, którą poznał w teatrze i z którą przebył wieczór jeden, głównie na scenie. A ujął sobie tak podbić pannę, że poszli natychmiast i we dwoje tylko, do kościoła, prosząc o ślub. Ale ksiądz, był człowiek nie tylko dobry, ale i rozumny: zamiast tłumaczyć młodej parze, że robi rzecz szaloną, co by było rozogniło Petőfi'ego, kazał mu spokojnie iść wyrobić sobie dyspensę. Nim to nastąpić mogło, miłość się rozchwiała; poeta spotkał potem w życiu zacnego kapłana i śmiał się sam ze siebie, lecz do uczuć wdzięcznych względem niego pozuwał się zawsze.

Trochę w podobny sposób był też raz bliskim małżeństwa. Już za szczęśliwych czasów pomysłności znajdował się raz Petőfi na koncercie Liszta; ustroił się elegancko w czarną bramowaną barankami, w rękę trzymając barankową też czapkę, stanął pod jednym z filarów sali i słuchał muzyki mistrza, gdy spojrzenie jego padło na przesliczną pannę, której czarne i głębokie w wyrazie swym oczy zachwyciły go. Więc przykuł się do niej wzrokiem tak, że obok stojący znajomi spostrzegli ten zachwyt i poczuli się śmiać z niego, a jeden dodał, aby był ostrożnym i nie rozkochał się, bo to ptaszek nie dla niego: córka bankiera na miliony bogata. — Czy dlatego nie dla mnie? — zapytał Petőfi z wyniosłością i poruszona wyobraźnia zaczęła snuć natychmiast cały dramat miłości. Milionowa panna spotyka jego wzrok i odczuwa jego

ogień, serce jej uderza również i miłość się zapala, dziewica kocha, tęskni, pragnie widzieć, słyszeć ukochanego, pragnie jego miłości, pocałunku jego ust... i Petőfi, marzący to wszystko przy dźwiękach gorącej muzyki Liszta, roznamiętnia się, pierś podnosi mu się dumę wyniosłą. Czy nie jest poeta, uznanym przez swój naród, czyż piękność i miłość nie były zawsze wysokimi nagrodami poezji? Po wyjściu z koncertu Petőfi nie daje się zatrzymać przyjaciółom, biegnie do domu, rzuca na papier strofę gorącą i silnie jeszcze przenika się uczuciem z wrażenia czarnych oczu powstałym.

Nazajutrz, około południa, marzyciel, ustrojony najwykwintniej, jak mógł, puszcza się do pałacu bankierskiego. W drodze spotyka tego właśnie ze znajomych, który mu radził być ostrożnym, bierze go pod ramię i idą teraz we dwóch, w sieni pałacowej, poeta wymienia swoje nazwisko i każe się zameldować bankierowi. Znajdował się on w gabinecie swoim przy kantorze i tam natychmiast przyjmuje poetę, wychodzi na jego powitanie i wypowiada komplement, jak mu jest przyjemnie poznać osobiste tego, którego pisma budziły w nim już oddawna uwielbienie. Petőfi odpowiada na to oświadczeniem. — Kocham córkę pańską i pragnę uczynić ją moją — mówi odrazu; bankier uśmiecha się, ale jest to człowiek zacny, a głównie gorący patriota, więc nie odmawia, nie odmawia bynajmniej, ale tłumaczy się, że nie może tak odrazu rozstrzygnąć rzeczy i prosi też Petőfi'ego, aby, stosując się trochę do form świata, a nawet i i względów uczucia dziewiczego, dał się pierwiej poznać pannie. Radzi mu nawet jak ma to zrobić, wskazuje dom, w którym będzie w tych dniach z córką i gdzie poeta mógłby zbliżyć się do niej i zawiązać znajomość. Jokay przypuszcza, że rada była szczera, że poeta byłby mógł dostać pannę, ale na nieszczęście uczuł się on nagle ochłodzonym. Gdyby ojciec na romantyczny sposób był go zaraz poprowadził do córki; Petőfi byłby może padł przed nią na kolana, gorąco wypowiedział, co czuje, i od ognia jego miłości byłaby może zapaliła się miłość wzajemna w sercu pięknej; ale zwłoka, a głównie prezentacja gdzieś w salonie, zabiła wszystko. Ochłodnawszy, młodzieniec czuł się zrażonym; miliony narzeczonej były głównie lodem dla rozgorzałego jego serca; nie poszedł szukać czarnych oczu tam, gdzie mu kazano, i z całej awantury zostało mu wspomnienie kilku godzin gorąco przemarzonych i kilka strof namiętnie miłosnych — do ideału piękna, a nie kobiety.

Było to przecież w przededniu prawdziwej miłości, prawdziwego dramatu — tragedji w życiu poety.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA Z CZECH.

„Pan Tadeusz” w tłumaczeniu panny Krasnohorskjej. — Przykłady. Czeszy literaci na podróżach. — Teatr narodowy już pod strzechą. — Teatr niemiecki w Pradze. — Bohaterskość niemieckich burszów. — Z literatury. — Opera: „Szelm Sedlak” Dworzaka w Dreźnie. — „Halka” na scenie czeskiej. — Przykłady z języka polskiego. — Skromne wspomnienie pośmiertne.

Tak długo oczekiwany przekład „Pana Tadeusza” pokazał się nareszcie w naszym handlu księgarskim. Książka zwróciła ogólną uwagę; witamy ją serdecznie i jesteśmy mocno przekonani, że znaczenie jej przewyższa wszystkie dotąd u nas wydane przekłady z innych literatur. Dziwna to doprawdy rzecz, że Czesi, którzy przecież tak gorliwie zawsze zwracali uwagę na piśmiennictwo pobratymczego narodu, dopiero teraz przyswoili sobie to arcydzieło polskiej poezji, o którym przyzwoicie i sprawiedliwie powiedzieć można, że kto nie zna „Pana Tadeusza”, nie jest zdolnym wytworzyć sobie sądu o sile geniuszu Mickiewicza. Niema też wątpliwości, że „Pan Tadeusz” wywrze jaknajkorzystniejszy wpływ na poetyczną twórczość w Czechach, o czym zresztą mieliśmy już sposobność się przekonać. Krytyka czeska już wypowiedziała, że pokazanie się tej książki w Czechach stanowi

fakt bardzo ważny i złąd jest nadzieja, że nie znajdzie się Czecha interessującego się literaturą, któryby nie zapragnął poznać tego arcydzieła.

Jeżeli przecież dzieło polskiego poety zajmuje tak wysokie w literaturze stanowisko, naturalną jest rzeczą, że i przekład jego nie może być sprawą obojętną. Na szczęście został on dokonany tak, że nazwać go możemy pod każdym względem wyborym. Zawdzięczamy go znanej czeskiej poetce, Eliszce Krasnohorskjej, która wywiązała się ze swego zadania znakomicie. Talent poetyczny i znajomość rzeczy, połączone z niepospolitą sumiennnością i szacunkiem do arcydzieła nieśmiertelnego poety waszego, doprowadziły niełatwą w każdym razie pracę do najszczęśliwszego końca. Przetłumaczyć „Pana Tadeusza” — dobrze — to nie mała rzecz, zasługuje więc p. Krasnohorską na prawdziwe uznanie. Osm prawie lat poświęciła przekładowi, i kto miał sposobność w przeciągu tego czasu stykać się z szanowną poetką, mógł się przekonać, z jakim przejęciem oddawała się pracy swojej. To też niema tam powierzchowności i pospolitości, która pośpieszność zdradza; wszędzie praca i energia podziwu godne. W ducha każdego wiersza przeniknęła nasza poetka i oddała nam go tak, jak wymagał tego nastrój waszego wieszczca. Czytający więc u nas ten poemat mogą odczuwać w zupełności ten urok, jakim tchnie oryginał.

Chcąc też łaskawych czytelników zapoznać z przekładem p. Krasnohorskjej, uważamy za najstosowniejsze zanotować tu choć parę wierszy z tej pracy:

Litwo! ma domowino! Tys jak zdrovi drah!
Vzdyt pozna, jak tie cenit, co v tobie.... blaha,
Jen kdo tie ztratil! — Dnes tvou krasu v plnem lesku,
Zrzim, opievam zde v dali, po tobie pln stesku!...

Zobaczmy, jak ładnie brzmi ustęp z oddziału IV, tam, gdzie mowa o Zosi. Przekonany jestem, że łaskawe czytelniczki zrozumieją w szysko:

Těž o hrabieti hodno przemitati troszku...
Zdaž by se nezdarzilo podstrcit mu Zoszku?
Acz nebohata, rodem vynika tou mierou,
Žet rovna jemu, neb je senatorskou dcérou,
V tiech dvou jen kdyby mohla vznitit lasky vrou-

[cnoš],
V jich domie utulek by miela pro budoucnost,
S pravem prizbuzenstvi, tvurkynie jich snatku:
Když manželum by mladym nahradila matku...

Po této samotinké rozvažlivé radie,
Szla k okenku volat Zoszku, bavici se v sadie.

V svém rannim szatie Zoszka s nepokrytou hlavou,
Tam stoji, vzhuru držic sito ruczkuo hravou,
Ii k noham bieži drubež; slipky parousaté
I kohoutkové trczi hlavy chocholaté...
Tak v prostrzed zeleneho kruhu na pažitie,
Se shlukuje kruh ptactva krziklawie a hbitie...
Hle, nade ptactvem ona vysoko se zdvihá;
Jest bieloucžká, i v bílém szatie poletuje,
Jak vodomet kde sztihly z kvietin vytryskuje,
A sypouc perel prszku z perlové sve dlanie,
Kol na krzydla i hlavy krupobiti na nie,
Krup jecznych meta. Jesti hodno panských stolu,
To zrni, jež se v Litwie bere do rosolu;
A Zoszka, ze szpizirny kradouc hospodyní,
Je pro svou drubež, szkodou w hospodarstvi czini....

Wobec takiego przekładu zbytecznymi się nam zdają wszelkie komentarze i żałujemy tylko, że dla braku miejsca nie możemy więcej ustępów przytoczyć.

Dosyć często mówi się u nas, że wadą to jest nasza, szczególnie w młodym pokoleniu, iż mało podróżyjemy. Ślady tego ujemne widać i w literaturze, gdzie nieraz uderza jednostronność i brak tego, co się nazywa znajomością świata. W ostatnich czasach, zdaje się, i w tym względzie zrobi-

no wielki postęp, gdyż zwłaszcza pisarzy coraz więcej podróżuje i przez to nabywają obszerniejszych poglądów na rzeczy i cele życia. W ostatnim roku liczne grono pisarzy puściło się w świat, ażeby powrócić do kraju z nowymi wrażeniami i doświadczeniami. Wiadomo łaskawym czytelnikom, że poeta Wrchlicki tego roku odwiedził Francję, gdzie serdecznie był przyjęty w Paryżu przez Polaków i ziomków swoich tam bawiących. Oprócz Wrchlickiego i inni opuścili kraj rodzimny w celach mniej lub więcej naukowych. Otóż poeta Swatopełk Czech wybierał się już oddawna do Danii w celu napisania większego poematu o królowej Dagmarze. Józef Holeczek, autor powszechnie znanego dzieła „Za swobodę“, opisującego stosunki Czarnej Góry podczas walki z Turkami, ponownie wybrał się do Czarnogórców, zwiedził cały kraj i powróciwszy teraz, rozpoczął właśnie wydawać ciekawe stron tamtych opisy pod tytułem „Czarna Hora w miru“. Otokar Mokry, tłumacz poezji słowackich, podróżował po ojczyźnie Słowenów; szczególnie przebywał w okolicach przeslicznej Lublany i na Pomorzu słoweńskim. Józef Wünsch, jeden z najwziętszych czeskich podróżników, wybrał się na cały rok do Afryki, gdzie już bawi kilka miesięcy.

Rozumie się, że nasi byli i w Polsce, w Galicji, Poznańskim i Królestwie, zkąd wracając, starają się ziomkom swoim piórem i słowem w odczytach objaśniać ważne miejscowe stosunki. Z tych, co w Polsce byli, przypominam sobie Fr. L. Hovorę, który stara się umocnić wzajemne węzły pomiędzy literaturą polską i czeską, oraz sztuką dramatyczną.

Mówiąc o scenie, niepodobna nie donieść łaskawym czytelnikom, że nasz narodowy teatr odrodził się już jak feniks z płomieni i stoi piękny i wspaniały: istic świątynia, nie tylko dramatycznej poezji naszej, ale narodowego zespolenia się Czechów, pod tarczą sztuki. Jeszcze jednak ukochany ten nasz gmach nie jest całkiem wykonczony, a tymczasem mili nasi sąsiedzi, Niemcy, zazdroszcząc go nam, już zajmują się myślą budowania także sobie teatru wielkiego. — Chcieli, ażeby Sejm Czeski uchwalił 800.000 guldenów na rzecz teatru niemieckiego, lecz, na szczęście, zamiar ten spełzył w zarodzie, gdyż sejm został zamkniętym, zanim wniosek ten mu przedstawiono. Rozumie się, że Niemców to przedwezne zamknięcie sejmku bardzo boli, w pierwszych chwilach nawet po „katastrofie“, postanowili wybudować sobie teatr niemiecki sposobem bohater-skim, to jest, środkami prywatnymi, ze składek. Przecież rzecz idzie jakoś niepomyślnie, bo udało się im zebrać na ów ich teatr, w przeciągu całych dwóch tygodni, całych — 230 guldenów! To ładnie — niema co mówić. Widać z tego najlepiej jak wielka jest moralna siła germanizmu w Czechach.

Mówimy im też: „Jeżeli chcecie mieć w Pradze wielki teatr niemiecki, i jeżeli was tak boli, że nasz teatr czeski zmartwychwstał ze zgliszcz, to róbcie to, co my. Zwróćcie się do swego ludu, do wiejskiego ludu niemieckiego, do tych waszych patriotek filarów — i zobaczcie, jaką dostaniecie odpowiedź. Bo z pieniędzy czeskich — krajowych, budować teatr niemiecki — to byłoby rzeczą może łatwą, ale bezcelną.“

W ogóle nie dobrze idzie w ostatnich czasach panom Niemcom na czeskiej ziemi. Nowy burmistrz prazki, Dr. Czerny, śmiał im publicznie, w chwili uroczystej instalacji, powiedzieć, że złota Praga jest słowiańskim miastem. Bajeczny to gwałt! To też biedni przesładowani usiłują ducha w sobie, jak można, krzepić i bronić się przed uciskiem. Bohaterstwo niemieckich bur-szów pod tym względem zasługuje na wszelkie uznanie. Gdzie tylko się pojawiają ich śliczne, bur-szowskie czapki — zielone, modre, czerwone, białe i t. d. — wszędzie widnieją ślady staroniemieckiej rycerskości. Otóż, na przykład, w nocy, wracając z knajpy, idą do miejskiego parku. Po co, dla czego? W parku znajdują się, jak wszędzie w ogrodach botanicznych, zawieszone na drzewach i roślinach tabliczki, z czeskiemi na pierwszym miejscu napisami. Nie dziw więc, że mężni panicze spieszą w nocy do parku, w celu zerwania i zniszczenia tych tabliczek, czego dokonywają

z prawdziwie dzielnym animuszem. Wszak to pięknie i rozumnie? niema co mówić.

Na nieszczęście (!) fundusze gminy prazkiej znajdują się w takim stanie, że w miejsce zniszczonych tabliczek mogą być dane nowe, i że wskutek tego bohaterstwo rycerzy niemieckich do niczego nie prowadzi...

W literaturze pokazało się kilka nowości; z nich niezaprzeczenie pierwsze miejsce powinno zająć dzieło, zawierające wszystkie polityczne mowy, wygłoszone przez przewodnika narodowego, Dra Fr. L. Riegera. Mowy te wychodzą w zeszytach pod tytułem: „Mowy Fr. L. Riegera“ i będą niewątpliwie stanowić bardzo ważny materiał do poznania ruchu narodowego odrodzenia Czech. „Mowy“ wychodzą pod redakcją córki słynnego mówcy, pani Czerwinkowej.

Poezyi u nas nie brak — zdaje się, że pod tym względem literatura czeska jest pomiędzy słowiańskimi jedną z najbogatszych i najobficiej w obecnej chwili tworzącą. Kilka nowych zbiorów poezyi znajduje się pod prasą, zwłaszcza: Wrchlickiego, Pokornego (aż dwa zbiory razem), Hejduka, Czerwinki. Rozumie się, że obok prac dobrych i cennych znajdują się i prace wartości bardzo podrzędnej. Już to wypadła nam życzyć sobie, ażeby początkujący poeci nie spieszyli się zbyt z wydawaniem swoich utworów; nie jeden z nich nie ma dla literatury najmniejszego znaczenia. *Ustrzedni knihovna*, redagowana bardzo starannie przez Fr. Zakreja i wychodząca w małych tomach, po nadzwyczaj taniej cenie 10 kr., coraz lepiej się przedstawia. Wybór prac tu zamieszczonych bardzo jest harmonijnym. Są tu prace oryginalne i tłumaczone, poezye, powiastki i utwory dramatyczne. Z przyjemnością notujemy, że redaktor, p. Zakrejs, zwraca szczególną uwagę na polską literaturę, zamieścił bowiem w zeszytach *Ustrzedni knihovny*, dotąd wydanych, już cały szereg wyborów i dobrze wybranych przekładów. Wymieniamy tylko następujące: *Ulas*, Syrokli; *Spudłowałi*, komedia K. Zalewskiego; *Smutne wesele*, Morzkowskiej Marrené; *Przyjaciele Hioba*, komedia Asnyka; krótkie poezye Kraszńskiego i t. d.

Repertoar opery czeskiej zubożył się dwoma nowymi oryginalnymi utworami. Zawdzięczamy je najpopularniejszym kompozytorom narodowym: Smetanowi i Dworzakowi. Pierwsza opera nosi tytuł *Czertowa stiena*, druga *Dimitrij*. Obie przyjęła publiczność i krytyka bardzo pochlebnie, wyrażając sąd swój z prawdziwym zapałem. Przyjemnie nam przy tej sposobności wspomnieć, że kompozycje czeskich kompozytorów nabierają poza granicami Czech coraz większej wagi. Otóż właśnie w tych dniach przedstawiono w dworskim teatrze drezdeńskim operę Dworzaka: *Szelma Sedlak*, o której prawie wszystkie niemieckie gazety wyrażają się z wielkim uznaniem, zwłaszcza: *Dresdner Nachrichten*, *Dresdner Journal*, *Frankfurter Zeitung*, *Neue freie Presse* i t. d. Otóż kilka słów z krytyki zamieszczonej w *Dresdner Nachrichten*: „Najwięcej działają na niemiecką publiczność, powabną pełną melodye i rytmy słowiańskiego ducha, które brzmią rozkosznie i skromnie w połączeniu z orkiestrą instrumentalną.“

Mamy też nadzieję, że w przeciągu niniejszego sezonu usłyszymy na scenie narodowego teatru naszego waszę *Halke Moniuszki*; dowiadujemy się bowiem, że tutejsza dyrekcja kupiła już prawo przedstawienia *Halke* od wdowy po s. p. Moniuszce. Nawiasem wypadła nadmienić, że *Halke* przedstawiono już przed paru laty na scenie czeskiej, lecz wtedy pozyskano prawo tylko do kilku przedstawień.

Przekładów z języka polskiego pojawia się w naszej literaturze ciągle mnóstwo. Właśnie rozpoczęła wychodzić nowa powieść czcigodnego Kraszewskiego: *Bez serca* drukowaną w *Kuryerze warszawskim*, przekład W. Poka. Celestin Fryc ma zamiar wydać *Zebrane dzieła Kraszewskiego*, w tłumaczeniach czeskich. — Jan Neczas, tłumacz *Maryi Malczewskiego*, rozpocznie wkrótce na Morawii wydawać osobny zbiór poezyi polskich, pod tytułem: *Kwiety z Polsky*. Pierwszy tomik ma zawierać utwory Syrokli. — *Světlozor*, pismo ilustrowane prazkie, zamierza wydać powiastkę Pauliny L. Wilkońskiej: *Kilka perel*. Widać więc

i z tego, że nie brak chęci i sposobności poznania się, co pokazuje się rzeczą coraz ważniejszą.

Na zakończenie niniejszego listu poświęćmy mu-szę choć kilka skromnych wierszy nekrologii. Nie idzie o osobę sławną, uwieńczoną wawrzynem, który dają zasługi niesmiertelne — lecz tylko o prosty kwiatek życia naszego, któremu umiał być wprost ozdobą nieba...

Przed rokiem byliśmy wszyscy serdecznie ucieszeni, dowiedziawszy się, że panienka F. oddała się poważnie nauce języka polskiego, w celu zapoznania się z piśmiennictwem polskiem i bywania w prazkim Kole Polskiem.¹⁾ Wszyscy niecierpliwie oczekiwali chwili, gdy sympatyczna, młoda istota ukaże się wśród grona miłośników języka polskiego i przystąpi do „Kola.“ Wiedzano, jak gorliwie zajmowała się wszystkim, co polskie, jak chętnie czytywała *Bluszcz*. A pochodziła z szanowej, patrioteckiej rodziny, była wysoko wykształcona, nad wyraz sympatyczna i ładna — jak rzadko! Prawdziwy to był kwiatek poetyczny, młodość pełna dziewiczego wdzięku i uroku. Tymczasem niemiłosierny los zniszczył razem jej i nasze marzenia.

Zasłała wiosną, i już nie bez obawy o nią wywiozła ją rodzina na letnie mieszkanie. Tam w ci-szy wiejskiego i sielankowego życia, w murach jednego z najstarszych zamków czeskich, zakończyła młode dni życia swego nadobna ta lilija. Smutno sercom nad mogiłą takiego kwiatka — tem bardziej, gdyż kochać się chciał — w polskości.

Chłodna jesień otacza już dziś jej mogiłę — skończyło się piękne, dziewicze istnienie, nadzieje i rojenia wdzięczne, ale nie zginęła tkliwa pamięć o zmarłej.

Edward Jelinek.

LISTY Z ZAGRANICY

J. I. Kraszewskiego.

Z pamiętników książęcej córki, przez R. Waldmüller'a.

Dnia 24 Lutego 1834 r. w pałacu księżniczek pruskich w Berlinie, odegrano komedią niemiecką, nieznanego autora, tak żywo i prawdziwie malującą życie współczesne klas średnich, tak poza pospolity szablon dramatów grywanych na scenie wychodzącą, a przy prostocie swej oryginalną, iż nadzwyczajnego doznała powodzenia.

Wkrótce potem dano ją w publicznym teatrze, i tu też oklaskami powitaną została. Najgłębszą w początku tajemnicą otoczone było imię autora, pod pseudonimem się ukrywającego; lecz gdy po tej pierwszej próbie szczęśliwej nastąpiły, tegoż samego pióra: *Narzeczona z miasta*, *Stryj*, *Książęca narzeczona*, *Wiejski gospodarz* i t. d. tajemnica zdradzona została i — zarówno w Berlinie jak w Dreźnie dowiedziano się, że autorką tych sztuk, tak sympatycznie przyjętych na wszystkich scenach niemieckich, tłumaczonych na język angielski i francuzki, była księżniczka Amalia saska, córka księcia Maxa, urodzona w 1794 roku, dnia 10 Sierpnia.

Dramatyczne jej i muzyczne utwory, gdyż cała rodzina saska, literaturą i muzyką gorąco się zajmowała, znane były oddawna — ale rozproszone, mało komu przystępne; gdy po zgonie autorki, d. 18 Września 1870 r., pobożną ręką rodziny zebrano pozostałe papiery księżniczki Amalii, powierzono je p. Robertowi Waldmüllerowi, znanemu z pięknego swego talentu powieściopisarskiego. (Edw. Daboc) i ten naprzód w 1873 r., za zezwoleniem króla, wydał wybór sztuk dramatycznych (Lipsk, Tauchnitz).

Oprócz nich, prócz obfitej korespondencji księżniczki, w pracy szukającej szczęścia, w chwilach wielkich i ciężkich prób, jakie królewska przecho-

1) Na wieczorach i zebraniach Kola Polskiego w Pradze, bawają kobiety.

Dobrze chodzę koło roli;
 W kniei jestem, jakby w domu....
 Wiem, że krzywda zawsze boli,
 Wiem co się należy komu.

Braci kocham z całej duszy,
 Umieć w puhar brząknąć dziarsko!
 Lecz jeśli kto honor ruszy,
 To go kropię szabłą barską.

Gdy chodzi o dobro kraju,
 To wy o tem, jejmość, wiecie,
 Że po dawnym obyczaju,
 W kąć prywata—fraszką życie ...

Jeśli jejmość się przymili,
 To na wszelkie jej usługi,
 W złej i dobrej życia chwili,
 Jestem gotów—jakiem długi.

Tylko nie kaź, proszę ciebie,
 Abyćm wzdychał do księżycy,
 Myślą bujał gdzieś po niebie....
 Bowiem zgubisz tem szlachcica!

Niech po niebie słońce chodzi,
 A za sobą niech w półkole
 I miesiąc i gwiazdy wodzi;
 My zaś na tym tu padole

Milujmy się podawnemu,
 Bez tych modnych ceregieli....
 Moda dała przystęp złemu....
 Bodaj-by ją czarci wzięli!

„Wydawnictwo dzieł ludowych“ wydało znów parę dobrze napisanych książeczek, mianowicie *Pogadanki Wojciecha* i powiastkę nagrodzoną na konkursie, przez wydawnictwo ogłoszonym w roku bieżącym: pod tytułem *Stary Grzegorz* przez Józefa Hoppasa. W *Pogadankach*, sporej dwuarkuszowej książeczce, dotknięte są z kolei w dobrze użytej i urozmaiconej formie dyalogowej, najważniejsze stosunki życia włościańskiego i jego umoralnienia. Autor, przechodząc zręcznie z przedmiotu na przedmiot, nie nuży, ale przeciwnie, zaciekawia i podaje nieznaną naukę moralną i wiadomości odnoszące się do stosunków gospodarskich i obyczajów ludu, obejmując dosyć szeroko zakreszone koło jego zajęć powszednich i obowiązków społecznych. *Pogadanki* rozpoczynają się od uwag o pożyteczności utrzymania ryb w stawach, z okazji przerebywania toni podczas zimy na wiejskim stawie; dalej dotyka autor niektórych zabobonów ludu, wiary w pojawianie się duchów i strachów, wskazuje pożyteczność modlitwy, mówi o wzorowym prowadzeniu gospodarstwa, o dobrym utrzymaniu bydła, o zamianie i komasacji gruntów, o chatach wiejskich, ich rozkładzie i budowaniu, o karczmach i wychowaniu dzieci, o sądach i kryminale, wreszcie o wyborach do urzędów gminnych i do sejmu, na koniec o szkołach wyższych. Zazwyczaj forma dyalogowa, niewłaściwie użyta, bywa najniewdzięczniejszą i najtrudniejszą, ale autor *Pogadanki* włada nią wybornie i przedziwnie umie zalety jej wyzyskać do zamierzonego celu; najbardziej przez to, iż nie jest nigdzie rozwlekłym, swobodnie przechodzi z przedmiotu na przedmiot, a w każdym ustępie, w każdym niemal wierszu, podaje treściwie zawartą naukę i zdrowe zamieszcza rady.

Powiastka *Stary Grzegorz* dotyka podobnie stosunków włościańskich, na tle związanych nicją powieściową obrazków, malujących biedy i przywary naszego ludu, przeciwstawione cnotom i zaletom uosobionym w postaci Starego Grzegorza i otaczającego go grona. Wojciech Bugaj, jego chata, rodzina, otoczenie i życie całe, to zupełne przeciwieństwo chaty i rodziny Grzegorzowej. Antyteza ta snuje się przez całą powiastkę, w której autor maluje życie włościan w Chlebskiej wiosce, gdzie się rzecz opisana odgrywa. Nie mogąć

zaradzić biedzie, w braku chęci do pracy i siły moralnej nadającej wiarę w siebie, biedni ludziska ulegają podszeptom i namowom emigracji do Ameryki, aby za dalekimi morzami szukać złotej doli i łatwego sposobu życia. O doznanych zawo- dzie i skutkach emigracji, o przerażającym losie, jakiego uwiedzeni a lekkomyślni, porzucający grunt i chaty rodzinne, w Ameryce biedni wędrowcy doznali, dowiadują się w Chlebskiej za po- wrotem z zamorskiej wyprawy jednego z uwie- dzionych w podobny sposób, który z naczynego doświadczenia o skutkach tego szału amerykań- skiej wędrowki, wszystkich jakoś dowodnie prze- konał. Tymczasem w wiosce za pobudką sta- rego Grzegorza, miejscowego plebana i rządniej- szych, rozumniejszych gospodarzy, nie oglądając się na złote góry zamorskie, zaczęto myśleć o po- dzwignieniu się własnymi siłami, z biedy i moral- nego upadku; w miejsce szynków założono czytel- nię i kasę zaliczkową, która, przyszedłszy w po- moc zadłużonym, wydzwignęła ich z lichwy; za- bezpieczono chaty i grunta w Towarzystwie Kra- kowskiem Wzajemnych Ubezpieczeń, czego dobro- czynne skutki okazały się wnet po pierwszem gra- dobiciu w tej okolicy. Wszakże nie dosyć na tem: stary Grzegorz doprowadził jeszcze do tego, że założono dom pracy, w którym zaczęto wyrabiać płótna, koszyki, wozy, sukmany i t. p., tak na uży- tek miejscowych gospodarzy, mogących się tutaj zaopatrzyć za tańsze pieniądze we wszystkie po- trzeby domowe, jako też i na sprzedaż do wiosek sąsiednich i dla kupców do miasta. Tym sposo- bem po pewnym lat przeciągu zmienia się dola mieszkańców wioski. Po ludziach pograżonych w niedbalstwie, próżniactwie i wszelkich tegoż skutkach, nastają „lepsi ludzie i lepsze czasy“; starego Grzegorza obrano wójtem, ustały kłótnie i bijatyki, nadto było słychać o złodziejstwie; nau- czyli się starannie chodzić koło roli i dobrze ją uprawiać, radzić sobie i pomagać wzajemnie w po- trzebie, znajdowali zabawę w czytaniu i uczciwej rozrywce, chętnie posyłali dzieci do szkoły, za- przestali wierzyć w kieliszek i gusła. Tak rzecz przeprowadziwszy w szeregu stosownie skreśl- onych obrazków, kończy autor powiastkę zaślubi- niami posażnej wnuczki Grzegorzowej Helźbietki, z ubogim ale uczciwym i pracowitym parobezka- kiem Pawłem, któremu z powodu tych zalet stary Grzegorz chętnie los wnuczki swojej powierza. W całym układzie i stylu powiastki widać pióro wytrawne, znające zblizka stosunki i usposobie- nie ludu i umiejące doń we właściwy sposób prze- mawiać, aby budzić w duszy jego usłone szlache- tniejsze popędy i torować mu drogę oświaty i mo- ralności.

Ważnym szczegółem na widowni tutejszego ru- chu literackiego jest pojawienie się nowego lite- rackiego czasopisma, wychodzącego tygodniowo, pod redakcją pp. Bolesława Czerwińskiego i Bo- lesława Spausty. Od dłuższego lat przeciągu pi- sma polityczne tak dalece pochłonęły u nas całą ciekawość czytającej publiczności, że żadne pismo czysto literackie utrzymać z niemi spółzawodni- ctwa nie zdołało, czego dowodem upadek dawniej *Dziennika literackiego*, mającego tradycją wielo- letnich zasług za sobą, a następnie *Ruchu literackie- go* i *Tygodnika*, pomimo, że każde z tych pism mia- ło swoje zalety i dobrze było redagowane. W ta- kich okolicznościach potrzeba prawdziwie mło- dzieńczej ufności we własne siły i wiary w przy- szłość, aby się odważyć na wydawnictwo nowego pisma literackiego we Lwowie, z nadzieją pomyśln- ego skutku, która oby się tylko sprawdziła! Z wysłanych dotąd kilku numerów *Ziarna* widać, że będzie to ziarno zdrowe a zatem i pożyteczne, jeżeli się zdoła przyjąć i bujnić, jakby należało, rozkrzewić. W artykule wstępnym, inauguracyj- nym, wytknęła redakcyja bardzo trafnie tę choro- bliwą apatyją względem literatury ze strony publi- czności i potrzebę, aby się z niej otrząść. Dalej idą zwykłe rubryki w pismach tego rodzaju, po- wieść oryginalna Sewera i druga tłumaczona, poe- zya, dział literacko-naukowy i krytyczny, zapiski z dziedziny literatury, sztuki i t. p. Wszystkie w tych pierwszych numerach zawarte artykuły pisane są z talentem i w dobrym duchu, co dozwa- ła jaknajlepiej wróżyć o dalszym kierunku i war- tości pisma.

Teatr nasz będzie wkrótce znów przebywał przeobrażenia, których skutku dziś jeszcze prze- widzieć nie można. Miłaszewski, znudzony walką z nieustannymi przeszkodami, stawianymi mu ze wszech stron przez nieprzejednanych spółzawo- dników i pochodzącemi z tegoż źródła intrygami zakulisowemi, rzekł się stanowczo dyrekcji tea- tru, od d. 1 Kwietnia roku przyszłego. Wkrótce zatem będzie nowy konkurs ogłoszony. Czy sce- na lwowska przejdzie w ręce kogoś takiego, coby ją był zdolnym utrzymać na prawdziwie artysty- cznej wyżynie, a przytem posiadał tyle dobrych chęci i praktycznej znajomości zawodu i wytrwało- ści, co Miłaszewski?—przewidzieć tego nie można, ale to pewna, że nie łatwo znajdzie się ktoś taki, zwłaszcza w trudnych nader stosunkach miejsco- wych tutejszych. Przypatrzwszy się im zblizka podziwiać przychodzi energią i zapobiegliwość Miłaszewskiego, z jaką się krząta około utrzymania sceny na stopie odpowiedniej. Dosyć powie- dzieć, że na wieść o otworzeniu sceny polskiej w Petersburgu porzucili go naraz, jakoby za da- nem hasłem, najlepsi starsi artyści, reżysserowie opery i dramatu: Fiszer, Zboiński, Podwyszyński, Lubicz, Zamojski: tak, iż naraz pięknego poranku dyrekcya ujrzała się osamotnioną. Wielka była radość w obozie przeciwników Miłaszewskiego; sądzono bowiem, że nastąpi, jak tutaj mówią, po- życzony z Wiednia wyrazem „wielki krach“ sce- niczny i dyrekcya z kretesem będzie skompromi- towaną. Miłaszewski wszakże nie dał za wygra- ną, nie zamknął wrót Melpomeny, jak się złośli- wie spodziewano. Przeciwnie, zgromadziwszy na- tomiaśt młode siły, tyle dołożył gorliwości i tak dobrze potrafił skompletować zastęp sceniczny, że ubytek dawnych sił artystycznych, zastąpio- nych młodemi, wcale się uczuć nie daje, ani w przedstawieniu komedyi, ani nawet dramatu. Przeciwnie, pod względem reżysseryi scena zyskała, odkąd ją dyrekcya poruczyła Walewskie- mu, młodemu, utalentowanemu i wykształconemu artyście, który energią i znajomością rzeczy umie podnieść należycie każde przedstawienie i utrzy- mać na scenie ład artystyczny, szwankujący przedtem nieraz niezaradnością dawniejszych re- żysseryi.

Władysław Zawadzki.

ŻYCIE W CHINACH I JAPONII.

przez

A. Dubard'a.

(Dalszy ciąg).

Widząc, że nie mogę się spodziewać żadnej z tej strony pomocy, już gotów byłem, wzięwszy na odwa- gę, noc przepędzić, czekając godziny, o której miał po mnie przysłać mój przyjaciel, gdy spostrzegłem policyanta. Miałem się za uratowanego; zblizy- wszy się więc do owego reprezentanta władzy, przedstawiłem mu z całą uprzejmością moje po- łożenie; słuchał mnie z ustami rozwartemi, kiwając głową; a skoro skończyłem mówić, nieodpowie- dziawszy mi ani słowa, odwrócił się i odszedł. Już zacząłem jak tylko umiałem, przeklinać zacnego stróża porządku, gdy ujrzałem go powracającego: — Idź za mną, — rzekł. Udałem się za nim i stanęliśmy przed dwoma *dżyn-ryki*, to jest właści- cielami ręcznych wózków. Sądząc, że ci pocziwy- czy znają dobrze język angielski, próbowałem porozumieć się z nimi, lecz „Idź za mną“ było jedynem zrozumiarem dla nich słowem. — Wytrzeszczali oczy, wywijali rękoma, rozprawiając pojapońsku, czego w owym czasie niewiele rozumiarem; jednem słowem: traciłem już wszelką nadzieję, gdy nagle przysłała mi świetna myśl do głowy. Niewiele jest w Yeddo francuzkich officerów, zapewne też znają ich wszystkich dobrze japońscy *dżyn-ryki*, a więc musieli oni widzieć i mego przyjaciela. Chociaż bardzo mało rozumiarem jeszcze wtedy pojapoń-

sku, umiałem jednakże dosyć słów, aby ich zapętać.

— Czy znacie pana M. O.?

Japończycy zdawali się wzajemnie badać; opowiadali sobie mnóstwo rzeczy, nakoniec przy potoku słów wstrząsnęli przecząco głowami.

— M. O. — powtórzyłem raz jeszcze, — officer francuzki, gruby blondyn, nieco łysy. — Twarze moich Japończyków rozpromieniły się.

— Goruszy, goruszy „dobrze, dobrze“ — odpowiedzieli uradowani; — wiemy — i jeden z nich, wskazując swą *dzyn ryki-cha*, zachęcał do wsiadania.

Nie dałem się prosić — i jeden ciągnąc, drugi popychając, powieźli mnie szybko.

Tęgo wieczora nic nie widziałem. Yeddo, aczkolwiek jest stolicą, nie odznacza się jednak dobrem oświetleniem; a jechaliśmy prędko, przytem nietylko pragnąłem zadowolić ciekawość, ile co najrychlej przybyć do swego przyjaciela, obawiając się zastać go już w łóżku.

Po półgodzinnej jeździe, pełnej wstrząsań i podskoków, zatrzymaliśmy się przed czarnym jakimś murem; przy świetle latarni małego wózka widziałem w pół nagie ciała moich Japończyków parujących od zmęczenia, pomimo dość chłodnej nocy. Zawołali dwukrotnie, klaszcząc równocześnie w dłonie; usłyszałem skrzypnięcie otwierającego się okna i poza drewnianą kratą ukazała się głowa Japończyka.

— A co tam? — zapytał.

— Cudzoziemiec — odpowiedzieli.

Japończyk, milcząco, zamknął okno i przez pięć minut, co najmniej, sądziłem, iż przyjąć mnie nie chciał, że mnie nie zrozumieli wózkarze i znów zacząłem przeklinać mój wybryk, gdy okno powtórnie skrzypnęło. Tymrazem ujrzałem przez drewnianą kratę białą czapeczkę i usłyszałem wymówione, najczystsza francuzczyzną z lekkim strasburskim akcentem, który natychmiast poznałem:

— Któż u licha przychodzić mnie budzić o tej godzinie?

— To ja, mój drogi, przebaczone.

— Ach to ty! — przepraszam cię stokrotnie, że cię tak wytrzymałem, otworzę ci natychmiast, alez ciebie spodziewałem się dopiero jutro rano!

W kilka minut później byłem w objęciach mego kochanego towarzysza, który nie mógł pojąć, jakim sposobem zjawiałem się tak późno. Opowiedziałem mu przygody mej nocnej wyprawy i gawędziliśmy, jak to zwykle gawędzi się po długim niewidzeniu.

Yeddo, lub jak go dziś zowią Tokio, jest stolicą Japonii, a mówi ci o tem, nie jego wspaniałość, lecz coś, czego określić nie umiesz, coś unoszącego się w powietrzu, co wskazuje główny punkt zborny i obecność rządu. Jeżeli po wyjściu z dworca kolei żelaznej, przeszedłszy most, zwrócisz się wprost na lewo, wtedy znajdziesz się na ulicy szerokiej, ciągnącej się daleko, zabudowanej na sposób europejski, coś w rodzaju karykatury ulicy Rivoli, stworzonej przez jakiegoś architekta awanturnika, którego nieumiejętność mogła się mierzyć tylko z jego zuchwałą zarozumiałością; poczem, przedostawszy się za pierwsze otoczenie wałów, będziesz miał dzielnicę urzędową miasta. Jest ona dziwnie posępna i obumarła, zaledwo gdziegdzie spotkasz rzadkiego przechodnia; wszędzie parkany z drzewa, czarno pomalowane, przylegające do murów fortyfikacji, galerye kręte i ponure; nagle ujrzysz rów trzydzieści metrów szeroki, nad którym unoszą się gromady dzikich kaczek i cyranek, jakgdyby to było gdzieś wśród pola; kiedyniekiedy przemknie szybko pędzący na koniu officer lub żołnierz, za basztą ciągnie się obszerna pole do ćwiczeń wojennych, za obszerną dla manewrującej na niem garstki; a za nim, jeszcze i jeszcze i ciągle czarne mury tylko. Dalej, wprost wznosi się wspaniale wyglądająca cytadella, to resztki *Szyro*, strawionego pożarem przed kilku laty. Na lewo niewielkie wzgórce, pokryte

budynkami w rodzaju świątyni: miejscowość ta zowie się *Kamu-sama-yasiki*, rezydencya pułkownika i części misyjskiej wojskowej. Wszędzie ponure milczenie, a jednak, krążąc po tych szerokich głuchych ulicach, trawą porosłych, nie możesz się oprzeć ogarniającemu cię wzruszeniu. Cofnąwszy się myślą tylko kilka lat wstecz, wyobraźnia przedstawi ci wszystkie te pałace, dziś zdające się być opuszczeniemi i które po większej części są niemi wistocie — zajęte przez dumnych przedstawicieli japońskiego feudalizmu. Tutaj, gdzie żyje nędźnie prosty odźwierny, stała niegdyś świetnie przybrana warta wpgotowiu do złożenia honorów wojskowych arystokratycznemu możnowładcy. Z poza tych zasłon w oknach, dziś zniszczonych i zamkniętych, wyglądały ciekawie kobiecie główki, zalotnie przystrojone, bawidelka tych małych potentatów. Obecnie ze świetności dawnych wieków nie pozostało nic, wszystko znikło nagle, ulegając niepojęcie gwałtownemu przeobrażeniu.

Jeżeli z tej dzielnicy, przypominającej państwo śpiącej zaklętym snem księżniczki, przejdzie się do handlowej części miasta, ma się zupełne przeciwstawienie. Nie jest uroczystej sztywności, posępnej ciszy w pierwszej, tyle ruchu, życia, wesela w drugiej. Fała tłumy uśmiechniętego, pełnego werwy, płyną na wszystkie strony. Przy wejściu do znaczniejszych świątyni, przed kramami wędrownych kucpców, przy sprzedających herbatę, tłoczy się ciągle ludność gwarna, odświeżnie strojna. Budy kuglarskie, ogrody, teatru, zdobyte przebojem i przepelnione; możnaby sądzić, iż lud ten myśli tylko o wesolem przepędzeniu czasu. I wistocie dla Japończyka wszystko się staje powodem do zabawy i to jest może zła strona jego charakteru; usposobienie to wielce hulawcze; nieprzyzwyczajony do posiadania, pędzi życie z dnia na dzień, bez pamięci o jutrze. Cnota oszczędności nieznaną jest tym dużym dzieciom, i zapewne trzeba będzie lat wielu, aby w niej zamakowali.

Nie przyjemniejszego nad wmieszanie się w ten tłum, jakgdyby uczniów używających wakacyi, nad studyowanie zbliżka tej przetwarzającej się cywilizacji, o której w Europie mamy tak niejasne pojęcia. — Po upływie dwóch dni oznaczonych mi urlopem powróciłem na pokład *Skrzydlatego*, z obfitym zbiorem wspomnień i cacek, nabytych podczas wycieczek, po starej Japończyków stolicy.

IX.

Wycieczka w okolice Yokochamy. — Kobieta w Japonii. — U pięknej Hiszpanki. — Zegar japoński.

Harles i ja postanowiliśmy, wraz z przyjaciółmi z miasta, zwiedzić *Nikko*, *Hakone* a może nawet i *Tuzy-Yama*. I rzeczywiście jedną z najprzyjemniejszych wycieczek, jaką odbyliśmy następnie, były odwiedziny w *cza-ya*, u tak zwanej „Pięknej Hiszpanki“. Owa *cza-ya* leży na drodze *Tokaido*, o milę od Yokohamy. Europejczycy, związani pewnego rodzaju uczuciem międzynarodowej wdzięczności, odwiedzają często jej właścicielkę. Kerpenik był u niej już kilkakrotnie sam i z kilku towarzyszami, tym razem jednak miał się tam udać wraz z pannami Simpson, od których i ja także otrzymałem zaproszenie do uczestniczenia w tej wycieczce.

Naturalnie, nie potrzebuje mówić, że *Piękna Hiszpanka* nie jest wcale Hiszpanką; poprostu jest to Japonka, tak tylko nazwana dla cudnej piękności, wielkich, smętnego spojrzenia czarnych oczów. Wszyscy podróżnicy pisali o niej, ze względu na wzruszający dramat, w którym, wówczas piękna i młoda brała czynny udział, zyskując sobie na zawsze sympatyą Europejczyków; przyjęła ona bowiem do swego domu z narażeniem własnego

życia, Anglika, p. Richardson, śmiertelnie ranionego przez żołnierzy okrutnego księcia Sacuma.

Było to w 1862 r. wtedy właśnie, kiedy Europejczycy najwięcej byli prześladowani przez rozwścieżone owe żołdactwo. Czyn tej kobiety byłby w każdym kraju uważany za czyn szlachetny; w Japonii zaś był już aktem heroicznym; bo Japonka tak przez swą naturę, jak wychowanie, więcej daleko aniżeli jej siostra z Zachodu, przeznaczoną jest pozostawać w cieniu domowego ogniska i żyć biernie w zupełnej niemal pomroce obojętności i nicości.

Kobieta, ten żyjący heroglif, tak pilnie badany i tak źle tłumaczony przez niezliczonych komentatorów, którzy go dotąd jeszcze nie umieli odgadnąć, kobieta w Japonii posiada właśnie pociągający szczególnie urok, jako przedmiot do obserwacji. Nie jest to już oddawna kobieta w stanie pierwotnej dzikości, niewiasta biblijna wyszła z rąk Jehowy, by mlekiem swych piersi karmić ród ludzki i służyć królowi stworzenia; nie jest to również ładna, zbyt kowna: zwierzątko Wschodu; ale też nie jest to jeszcze kobieta świata chrześcijańskiego, szanowana towarzyszką człowieka, jego matka, siostra, małżonka i kochanka — ta istota błogosławiona lub przeklęta, uwielbiana lub poniewierana, sprężyna wszystkich naszych czynów dobrych czy złych, magnes przyciągający nas, gwiazda o sile ożywej lub złośliwej, wokoło której w sposób mniej lub więcej bezwiedny, krąży mężczyzna krajów zachodnich. Cywilizacja japońska, mieszanina wytwornej delikatności i niesłychanego brutalstwa, wytworzyła dla kobiety źle jakoś określone położenie, niemające żadnego podobieństwa z tem, co się widzi, czy w Europie czy też wśród wyznawców Mahometa, Braamy lub Buddy.

Feudalność Dajmiosów, przynosząc do obyczajów pewien wykwiut *sui generis*, który zdaje mi się byłoby trudno przekroczyć, złagodziła zapewne nieco położenie kobiety, lecz temu wojownicznemu plemieniu, przejętemu dumą, brakło technienia Ewangelii, boskiego wpływu tego prawa, złożonego całkowicie z poblazliwej miłości, które jedno tylko w pierwszych wiekach chrześcijaństwa mogło postawić kobietę na stopie zupełnej z mężczyzną równości, dającej jej możność rozwinięcia przymiotów wrodzonych.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DZIEŁA

KLEMENTYNY Z TAŃSKICH

HOFFMANOWEJ

WTDANIE NOWE POD REDAKCYĄ

Narcyzy Żmichowskiej

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I OBJAŚNIENI

w 12 tomach w formacie 8-ki

Cena całego dzieła rs. 12

Dla prenumeratorów *Bluszczu*, za rs. 8 — z przesyłką rs. 10.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Żelazo**.

TREŚĆ. Ojciec do córki, (poezya). — Pozytywizm w praktyce, powieść, (dalszy ciąg), przez Sewera. — Wspomnienie poety, zyciorys, (dalszy ciąg) przez M. I. — Echo z Czech, przez Edwarda Jelinka. — List z zagranicy, J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów, (dokończenie). — Życie w Chinach i Japonii, (dalszy ciąg), przez Dubard'a.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 17 Ноября 1882 года.